

**EWA  
BARAŃSKA**

**Przypadki  
blondynki  
czyli...**

  
**KLIN**



# **EWA BARAŃSKA**

**Przypadki blondynki  
czyli...  
defiladowy krok na  
podmokłym terenie**



Redakcja: Ewa Kłosiewicz  
Korekta: Małgorzata Kot  
Projekt okładki: Natalia Smoleń

Tekst Copyright © by Stanisława Barańska,  
Warszawa 2016

Copyright © by Wydawnictwo Klin,  
Warszawa 2016

ISBN 978-83-62136-82-7

Wydawnictwo KLIN  
ul. J. Sobieskiego 10 m 72  
02-957 Warszawa  
tel. +48 501 686 786  
e-mail: m.g.klin@op.pl  
www.wydawnictwoklin.pl

**ELWIRCE  
WARCHAŁOWSKIEJ**



## **DOLE I NIEDOLE BEZROBOTNEJ BLONDYNKI, A DO TEGO GLACJOLOGA**

Bóg z każdym dniem stwarzał coraz wspanialsze rzeczy, a ostatnim jego dziełem była kobieta. Na dodatek wykonał ją z materiału szlachetniejszego niż glina. Niestety, ten harmonijny stan zaburzył jakiś męski zazdrośnik z przerośniętym ego i wymyślił blondynkę. Pomysł ten podchwycili i ochoczo rozpropagowali inni panowie, by zgodnie z zasadą, że kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą, do powszechnego obiegu wprowadzić SYNDROM BLONDYNKI. W tej sytuacji trudno odgadnąć, co przyniosło mi większego pecha: przyjście na świat trzynastego w piątek czy typowo słowiański typ urody. Tak, tak, jestem złotowłosą blondynkę z kremową cerą i niebieskimi oczami, tym samym symbolem bezmyślności, głupoty, roztrzepania i nieumiejętności koncentracji. A może te dwie opcje razem w kombinacji z niewłaściwym wyborem zawodu stworzyły przysłowiową puszkę Pandory?

Na moją fascynację glaciologią wpłynęło kilka okoliczności. Najpierw przybywająca z baśniowej krainy lodu, zimna i nieskazitelnej bieli Królowa Śniegu; później sugestywne opowieści uczestników wyprawy na Spitsbergen ze Studenckiego Koła Naukowego Ekologów, szczególnie Jurka Kalenia, w którym byłam nieprzytomnie zakochana; wreszcie książki Marka Kamińskiego<sup>1</sup>, wspaniałego podróżnika i polarnika-badacza, a skłonność do ryzyka wraz z nieokiełznaną wyobraźnią dokonały reszty. Oczywiście duszy widziałam się na zasypanym oślepiającym śniegiem arktycznym pustkowiu, gdzie w oddaleniu od świata, wśród pograżonych w ciszy majestatycznych lodowców odkrywam sens i prawdziwą wartość życia, oraz pielęgnuję miłość z moim pięknym Jurkiem.

Mimo ostrzeżeń rodziny przed taką dziwaczną specjalnością, postawiłam na swoim, napisałam pracę magisterską o sedymentacji osadów w obrębie wałów lodowo-morenowych i odbyłam dwuletni staż za kołem podbiegunowym. Z romansowego punktu widzenia, ośrodek badawczy przypominał arkę Noego – same pary, a wśród nich ja, jako singiel, bo mój piękny Romeo w ostatniej chwili zrezygnował z wyjazdu. Reszty dokonała skrzeczająca rzeczywistość: zlikwidowano instytut glaciologii (i oceanografii), stawiając moją dalszą karierę naukową pod wielkim znakiem zapytania. Zostałam bezrobotną, mimo to nie poddawałam się.

Jakiś czas pracowałam w charakterze referentki w Urzędzie Wojewódzkim, ale podziękowano mi przy pierwszej redukcji kadr. Tak jak radzi rządowy Departament Rynku Pracy i wszelkie fachowe poradniki,

---

<sup>1</sup>wszystkie przypisy na końcu książki str. 250

zrobiłam staranne zestawienie swoich kwalifikacji, zarejestrowałam się w pośredniaku i rozesłałam dziesiątki, a nawet setki CV. Fakt, na niektóre dostawałam odpowiedź, jednak schody zaczynały się podczas rozmów kwalifikacyjnych.

– Glacjolog? A czym to się, do cholery, je? – pytali niemal wszyscy ewentualni pracodawcy, chociaż w piśmie dokładnie wyjaśniałam.

– Mogę wykonywać każdą pracę – zapewniałam gorąco.

Dominowały trzy typy reakcji:

– Każdą? – co któremuś panu zapalały się w oczach lubieżne błyski i padały bardziej lub mniej zawoalowane niemoralne propozycje w postaci wszelkich odmian asystentek. Lecz obojętnie, czy zostałamby asystentką biura, zarządu, szefa, dyrektora czy prezesa, oznaczało to funkcję partnerki wieczorno-osobistej. Niektórzy bez owijania w bawełnę przyznawali, że chcieliby mieć asystentkę uniwersalną, krótko mówiąc – do wszystkiego.

Inni, bardziej przezorni i inteligentni, woleli za czasu eliminować ryzyko.

– O nie! Ja panią przyuczę, a pani znajdzie sobie pracę w swoim zawodzie i tyle będę panią widział. Jestem zainteresowany tylko pracownikiem wykwalifikowanym.

Albo przezorni, którzy jednak dawali młodym szansę. Ciamkali, chrząkali, drapali się po głowie i wreszcie skruszeni błagalnym wzrokiem takiej sieroty jak ja, mówili wspaniałomyślnie:

– Niech pani popracuje dwa tygodnie, zobaczymy, czy się pani nada.



Ostatnią wersję, mimo przestróg doświadczonej w tej kwestii przyjaciółki Kingi, przećwiczyłam dwa razy. Skończyło się tak, jak mnie ostrzegęła. Z trudem wywalczyłam drobną część należnej zapłaty.

Mimo to nie skapitulowałam. Zmieniłam taktykę. Wzięłam pod lupę portale bezpłatnych ogłoszeń i drobne anonse w gazetach, z nadzieją na jakąkolwiek pracę, choćby opiekunki dla dziecka, korepetytorki z przedmiotów ścisłych, nauczycielki angielskiego, kocię fryzjerki, psiej groomerki<sup>2</sup>, tanatopraktorki<sup>3</sup>, rewizorki, bukieciarki, czyścicielki klatek w schronisku dla bezdomnych zwierząt... Cokolwiek, byle zarabiać na siebie i czekać na lepszą koniunkturę dla glaciologów.

Wreszcie znalazłam ogłoszenie o poszukiwaniu maszynistki, która ekspresowo przepisze zlecony tekst na maszynie „Erica” sprzed 1970 r. Podskoczyłam z radości, gdyż u nas w domu taka właśnie maszyna od lat stała w charakterze antyku i pamiątki po prababci, która przed drugą wojną światową była sekretarką u samego marszałka Piłsudskiego.

Wydobyłam z lamusa maszynę, u znajomej emerytowanej maszynistki wzięłam dwie lekcje maszynopisania i zadzwoniłam na numer kontaktowy. Uwierzyłam, że nareszcie skończy się zła passa, że po zrealizowaniu zlecenia sama umieszczę w codziennej gazecie swój anons o przepisywaniu tekstów na zabytkowych maszynach, spadnie na mnie lawina zamówień i dopiero wtedy rozwinę skrzydła. Na razie kobiecy głos po drugiej stronie słuchawki podał mi adres, pod jaki mam się zgłosić. Pół godziny później stałam przed eklektyczną kamienicą w Rynku. Niezbyt nachalna tabliczka przy bramie oznajmiała:

***Biuro Usług Outsourcingu Pracowniczego  
oraz Porad Prawnych  
(1 piętro, pok. 6)***

Zapukałam do właściwych drzwi, a gdy usłyszałam „proszę”, weszłam i stanęłam jak wryta. Za masywnym biurkiem siedział... ostatni facet na świecie, którego chciałam spotkać, czyli Teoś Radanek, ksywa: Czopek Chytrusek – kolega ze studiów. Nawet nie udawał radości moim widokiem. Ja również byłam daleka od entuzjazmu.

Teoś to taki koniunkturalny kumpel z wilczym apetytem i wężem w kieszeni. Mistrzowsko wkręcał się na krzywy ryj na składkowe domówki albo na imprezy w lokalach, gdzie folgował sobie na ful i znikał, zanim kelner przyniósł rachunek; palił tylko „cudzesy”; gdy spotkało się go w sklepie, bankowo pożyczał złotówkę czy bodaj dwadzieścia groszy, gdyż akurat brakło mu do zakupów, potem tradycyjnie zapominał oddać. Na drugim roku najpierw zrezygnował z akademika, bo niby wynajął prywatną kwaterę, a po miesiącu wrócił, by mieszkać u kumpli na waleta. Było tajemnicą polityczną, że Teoś to taki mydłek i fałszywiec, który dla zysku każdemu wejdzie w cztery litery bez wazeliny. Ale młodzi ludzie z natury są wyrozumiali, szczególnie gdy krążyła pogłoska, że rodzinę Teosia dotknęło bezrobocie czy też inne nieszczęście, więc chłopak z biedy jest taki, jaki jest. Ku naszemu zdziwieniu, na czwartym roku Teoś kupił sobie mieszkanie. Co więcej, aż dwupokojowe i w dobrym miejscu. Owszem, zrobił parapetówkę, ale uprzedził, że on daje wodę i ogień (gazowy), goście mają przynieść resztę. Przyjęliśmy warunki ze zrozumieniem. Wiadomo, mieszka-

nie kosztuje. Jednak największa niespodzianka dopiero na nas czekała. Teoś przedstawił nam Otylię Miciuń, swoją narzeczoną. Nie jakąś tam džinsowo-tshirtową w adidasach, lecz raczej zbliżoną do klienteli Guccich, Armanich i Diorów. Raz-dwa okazało się, że Otylia jest córką miejscowego potentata w branży pieczarkowej. Dziewczyna, mimo niezłej figury i ładnej buzi, była sztywna i wyglądała, jakby się urwała z epoki wiktoriańskiej. Ale cóż, gust nie podlega dyskusji, życzyliśmy koledze i jego wybrance wspólnego szczęścia.

I na tym powinna się zakończyć moja towarzyska aktywność, jednakże w tamtym czasie trzymały się mnie okropnie głupie żarty, a numer wycięty Radankowi, bił wszelkie rekordy idiotyzmu. Któregoś dnia, przechodząc obok bloku Radanka, zauważyłam w oknie jego mieszkania przyciemnione światło. Zamiast pokapować, że oznacza to romantyczne tête-à-tête z dziewczyną, bezmyślnie polazłam na drugie piętro. Nacisnęłam dzwonek – nie działał, zapukałam – zero reakcji, nacisnęłam klamkę.

## **POZORY MYŁĄ, A LUDZIE MAJĄ SPROŚNE MYŚLI**

Przedpokój tonął w mroku, z pokoju na lewo dobiegał głos z telewizora, a Radanek z Otylką na kanapie, przytuleni jak dwa gołąbki, oglądali jakiś film. W tym czasie ja, zamiast po cichutku wycofać się i porządnie załomotać w drzwi, odstawiłam torbę, zmierzwiłam włosy i weszłam do pokoju. Ich miny były warte co najmniej tysiąc dolarów. Ubawiona po pachy, zawołałam:

– Do cholery, co to ma znaczyć? Ile mam czekać na tę herbatę?!

Radanek podskoczył jak porażony prądem, natomiast Otylkę na minutę zapowietrzyło.

– Zawiodłeś mnie! Tego nigdy ci nie wybaczę – wycedziła zjadliwie, po czym z obrażonym ryjkiem ruszyła energicznie ku wyjściu.

– Ojej, przepraszam, chciałam tylko zażartować – zaczęłam tłumaczyć, ale guzik z pętelką, wyszła trzaskając z impetem drzwiami.

– Jak mogłaś wyciąć mi takie świństwo? – wyjęczał Teoś i pobiegł za ukochaną.

W pierwszej chwili zignorowałam to zajście. Moja babcia zawsze twierdziła, że tylko pierwsze dziecko rodzi się z miłości, pozostałe wyłącznie z przeprosin. Niestety, nabzdyczonej Otylii nie zdołałam przeprosić ani w pojedynkę, ani z pomocą Kingi, ani z innymi znajomymi dobrej woli. Również urażony w swej męskiej przemądrzałości Radanek trwał w swym nadąsaniu. Nie dał się przekonać, że tak naprawdę, zrobiłam mu przysługę, bo życie z osobą gruntownie pozbawioną poczucia humoru byłoby piekłem. Po obronie prac dyplomowych zniknął mi z oczu. Dopiero teraz go spotkałam, lecz z jego miny nie wynikało, by zapomniał o doznanym dyshonorze.

Aha, muszę nadmienić, że kiedy pracowałam w Urzędzie Wojewódzkim, pewnego razu przysłała do mnie Otylia. Byłam przekonana, że zaraz wygarnie publicznie, jaka to ze mnie złośliwa małpa, tymczasem ku mojemu zdziwieniu powiedziała:

– Już dawno miałam ci podziękować, ale lepiej późno niż wcale.

– Podziękować? Za co?

– Za ten prezent w postaci pretekstu do zerwania znajomości z tym dusigroszem Teodorem.

Moja zdumiona mina skłoniła ją, by dorzucić parę słów wyjaśnienia:

– Wyobraź sobie, ten chytrus nigdy nie kupił mi kwiatów, nie zaprosił do lokalu czy do kina. Raz kupił mi loda na patyku, więc żeby nie narażać mnie więcej na pokusy rozpasanego handlu, kiedy jeszcze nie miał swojego mieszkania, łąziliśmy godzinami po parku.

Nie uwierzysz, do jakich numerów był zdolny. Kiedy zgłódniał, biegł do baru coś przekąsić, a ja czekałam na niego na ławce.

– I puszczałaś płazem te gafy?

– Niestety, ale to jeszcze nic. O rękę poprosił mnie bez pierścionka i bez bodaj jednego kwiatka.

– Wybacz, od samego słuchania śwędzi mnie czubek buta, by kopnąć go w tyłek. Co cię przy nim trzymało?

– Moi staruszkowie zawsze ciężko pracowali, żeby mnie wykształcić. Tymczasem ja, mimo armii korepetytorów, z trudem zrobiłam maturę. W ich mniemaniu tylko zięć magister uratowałby rodzinny prestiż, a poza Teodorem żaden dyplomowany amant mi się nie trafił. Jeszcze raz dziękuję. Wpadnij do mnie kiedyś, pogadamy.

Uff, cóż to była za ulga dla mojego sumienia. Ale wracam do meritum.

– Słucham panią? – spytał Radanek, ignorując mój uśmiech z gatunku tych, jakimi obdarza się niewidzianych od lat znajomych.

– Przyszłam w sprawie ogłoszenia – spoważniałam.

– Rozumiem. Jaką maszyną do pisania pani dysponuje?

– Spełniającą wszystkie warunki postawione w anonsie. „Erica” sprzed drugiej wojny światowej – rzekłam, a widząc niedowierzanie, wykwitające na jego twarzy, dorzuciłam szybko: – Moja prababcia miała zaszczyt być sekretarką marszałka Piłsudskiego.

– Powiedzmy. Ponieważ termin minął przedwczo-  
raj, zaryzykuję – burknął, po czym wręczył mi plik za-  
drukowanych kartek. – Proszę zachować układ i zro-  
bić dwie kopie przez kalkę. Muszę to mieć jutro przed  
dziesiątą, inaczej nie zapłacę.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem, jakby uważał  
rozmowę za zakończoną. Odsunął nawet szufladę i za-  
czął coś w niej przekładać.

Wiem, dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach,  
lecz bez przesady.

– Biorę pięć złotych za stronę i dwa złote za każdą  
przebitkę – oznajmiłam głośno i dobitnie.

Obrzucił mnie wzrokiem pełnym obrzydzenia.

– Przebitki najwyżej po złotówce.

– Dobrze, ale plus dwadzieścia procent za eks-  
pres.

Liczył przez chwilę w pamięci i wreszcie przystał na  
drugą opcję. Summa summarum zaoszczędził sześć-  
dziesiąt groszy na każdej stronie, niemniej dla takiego  
liczykropy każdy grosz jest dobry. Żałowałam, że nie  
powiedziałam trzydzieści procent.

Złe oszacowanie ryzyka się mści. Niestety, tę wie-  
dzę zdobyłam później. Na razie, cała w skowronkach,  
przybiegłam do domu i zasiadłam do maszyny. Szło  
nieźle do północy. Wraz z dwunastym uderzeniem ze-  
gara (też po prababci), w maszynę jakby osioł wstąpił  
– nie reagowała na naciskanie klawiszy. Przy bliższych  
ogłędzinach ustaliłam, że urwał się sznureczek przesu-  
wający wózek. Drobiazg. Usunęłam usterkę i pisałam  
dalej. Nie za długo. Chwilę później maszyna przestała  
stawić duże litery. Niby wszystko było w porządku,  
a do dużych liter jakby, świnia, dostała awersji. Minę-

ło niemal pół godziny, zanim pojęłam, dlaczego. Pękła sprężynka podnosząca wałek.

Bolał mnie kark, piekły oczy, a serce szalało od szóstej kawy. Spróbowałam zastąpić pękniętą sprężynkę sprężynką od długopisu – za twarda. Potem recepturkami – te po dziesięciu minutach pękały, wreszcie ich zapas stopniał do zera, więc zaczęłam wycinać je z gumowych rękawiczek, lecz ich żywotność była jeszcze krótsza. Tak więc po godzinie widmo katastrofy zajrzało mi w oczy. Patrzyłam z rozpaczą na kupkę poszarpanych gumek oraz ten złom, służący niegdyś do pisania, i prawie wyłam z rozpaczy. Wtem przypomniałam sobie reklamę prezerwatywy, przeczytaną w jakiejś starej gazecie w archiwach pradziadka: „Prędej pęknie ci serce” i... olśniło mnie. Tak, to było TO!

Wezwałam taksówkę i kazałam się zawieźć do najbliższej apteki, pełniącej nocny dyżur. Taksówkarz myślał dobre pięć minut.

– Na Kościuszki.

Apteka była zamknięta na cztery spusty, lecz napis na drzwiach głosił: „W sprawach pilnych dzwonić trzy razy”. Zadzwoiłam. Po kilku minutach wyjrzała zaspana pani magister.

– Słucham?

– Proszę prezerwatywę – pani zrobiła minę, jakbym prosiła o słońca z różową kokardką na ogonie.

– Jedną prezerwatywę?

– Cztery opakowania – skorygowałam.

– A dla mnie przy sposobności tabletki od bólu głowy, usłyszałam za sobą głos taksówkarza. On też wlepiął we mnie te swoje gały z... powiedzmy, z zainteresowaniem.



W drodze powrotnej, ze wstydu najchętniej wlaźłabym pod siedzenie. Na dodatek taksówkarz po swoim interpretował tę naszą, nocną wyprawę do apteki.

– Jakby trzeba było gdzieś jeszcze skoczyć, jestem do państwa dyspozycji. Przyjmuję zlecenia na różne usługi. Wystarczy zgłosić telefonicznie. Kupię co trzeba i dostarczę do domu. Przy większych zakupach daję dziesięć procent rabatu.

Ustawił tak lusterko, byśmy mogli się w nim widzieć, po czym zaprezentował całą serię lubieżno-małpich min, puszczał perskie oczka, unosił brwi, oblizywał wargi i na wszelkie sposoby demonstrował chęć doszlusowania do rozpustnej, w jego mniemaniu, zabawy.

„No proszę, jestem orgietka! A wyjdę na idiotkę, gdy zacznę tłumaczyć, że nad ranem kupuję prezerwatywy dla starej maszyny. Poza tym ludzie niechętnie rezygnują ze swoich przekonań, nawet w obliczu niezbitych argumentów, a co dopiero takich dziwadeł. Kicha!” – pomyślałam, a głośno obiecałam zapamiętać numer boczny taksówki.

– W przyszłości, jak jeszcze raz tak panią przyciśnie, prezerwatywy można nabyć w dworcowym kiosku albo na stacji benzynowej – poradził na pożegnanie.

Dupek.

Zwyczajny dupek.

Moja determinacja okazała się większa niż umiejętności maszynopisania, toteż do rana skończyłam pisać. Wzięłam zimny prysznic i pobiegłam na spotkanie z Radankiem.

– O, tylko dwie kopie? – zdziwił się, chociaż sam tyle zamówił. – Muszę kserować, a na to nie mam już za wiele czasu – spojrzął skwaszony na zegarek.

Powinłam mu wygarnąć, co myślę o takim krętactwie, lecz ugryzłam się w język, by nie zaprzepaścić ewentualnej szansy na nowe zlecenie.

– Kserograf jest na rogu, pójdę...

– Sam to załatwię. Aha, może odsprzedasz mi tę maszynę? – niespodziewanie przeszedł na per ty.

– Nie mogę, to rodzinna pamiątka po prababci.

– Dam dwieście złotych.

Zaniemówiłam na chwilę, tymczasem Radanek kuł żelazo póki gorące.

– Za taki rupieć nikt ci więcej nie da.

– Wiesz co, dam ci dwieście pięćdziesiąt i spadaj na drzewo.

– Jak chcesz – wzruszył ramionami i całą uwagę skupił na klawiaturze laptopa.

– Kasa, misiu! – warknęłam.

Sięgnął do kieszeni, od umówionej zapłaty odliczył skrupulatnie koszty kserowania i z nabzdyczoną miną wrócił do klikania myszką.